



Teresa Dwórznik - Romańska  
„Bajdy znad Wkry i Welu”

## **Jak to było z budową kościoła w Niechłoninie**

Wieś Niechłonin, otoczona wiankiem wsi: Gruszka, Gnojenko, Gnojno, Szronka, Zalesie, Jabłonowo, do połowy osiemnastego wieku nie była wsią kościelną. Kościół zbudowano nieco później. A zaczęło się tak.

Pod koniec Wielkiego Postu ludzie podążali do Działdowa po przedświąteczne zakupy. Tak więc, wczesnym rankiem od wsi Jabłonowo toczyła się w kierunku Niechłonina furmanka. Na niej gospodarz i gospodyni. Siedząc na toczku, radzili co kupić na targu, aby do jesieni nie trzeba było ponownie jeździć. Zajęci rozmową, nie zauważyli w pierwszej chwili, że konie zatrzymały się. Przed podróżnymi widać było już jak na dłoni Niechłonin. Mimo ponagleń woźnicy konie nie chciały ruszyć, tylko zwróciwszy łby w prawą stronę, stały jak sparaliżowane i wpatrzone w łąkę. I nagle również gospodarz odłożył bicz, bo przed oczyma małżeństwa roztaczał się niebywały widok; Oto po zalanej wiosennymi wodami łące lekkim krokiem szła, a właściwie płynęła kobieca postać z dzieckiem na ręku. Wschodzące słońce jakby prześwieślało jej postać, tak że rzucało złotawe smugi na białą, długą sukienkę i niebieski, zwiewny płaszcz. Bosymi stopami lekko dotykała wystających z wody kęp traw i zbliżała się w kierunku przejezdnych. Mąż i żona nie odzywając się nawet do siebie, pokłękali na wozie, a każde z nich szeptało coś w rodzaju modlitwy. Postać kobieca tak, jak przybliżała się, w pewnym momencie zaczęła się cofać i jak gdyby rozpląwać w porannych promieniach słońca. Konie ruszyły z miejsca, a podróżni już o niczym innym nie mówili jak tylko o widzeniu na podniechłonińskiej łące.

- Przecież nie przysnęliśmy, bo rozmawialiśmy ze sobą.
- I co teraz? Powiemy o tym komuś?
- Lepiej nie, bo ludzie powiedzą żeśmy zwariowali.
- Żeby był jakiś dowód.
- Ale nie ma, więc bądźmy cicho, bo i tak nikt nam nie uwierzy.
- A ja bym tam powiedziała. Niech wszyscy myślą, co chcą. Przecież widzieliśmy.
- Niby tak, ale jednak lepiej zamilczeć – radził mąż.

Wkrótce jednak zaczęto w okolicy pogadywać o tym zdarzeniu. Jedni wierzyli, inni nie. Niektórzy nawet śmieli się. Wielu przecież, mimo wszystko, wstawało wczesnym rankiem i obserwowało miejsce, o którym mowa, ale nikt nic nie zobaczył.

- Bajdy – powiadali - czy oni są aż tak pobożni, żeby im się Matka Boska pokazała?

- Prawda, do kościoła chodzą jak inni, a może jeszcze rzadziej.

Minęła Wielkanoc. Łąki zaczęły stroić się w świeżą zieleń i kwiaty. Jakież było zdziwienie, gdy tylko jedna łąka podniechłonińska zakwitła tak, że nie było widać zieloności traw. Barwiła się wszystkimi kolorami tęczy. Pośród pozostałych przypominała bukiet kwiatów, a zapach roznosił się, aż zatykało nozdrza. W okolicy zawrzało. Zaczęto wierzyć w opowieść. Mieszkańcy okolicznych wiosek radzili po chałupach, że w tym miejscu powinien stanąć kościół. Zaczęto w pobliskich lasach wycinać drzewa i zwozić na łąkę. Pewnej nocy okazało się, że nagromadzony materiał zniknął. Ku zaskoczeniu okolicznych i niechłonińskich mieszkańców drewno to znalazło dla siebie miejsce pośrodku wsi Niechłonin. Cudowne przeniesienie drewna zdecydowało o miejscu budowy kościoła. Świątynia otrzymała nazwę Wszystkich Świętych. Tak to było z budową niechłonińskiego kościoła.

## **Czarcia łąka**

Działo się to wówczas, gdy głównym opałem był torf. Kiedy tylko zawitała wiosna, pomiędzy Gnojnem a Prusinowem łąki przypominały czarno – zieloną szachownicę. Jedna z tych łąk należała do pewnego chłopca z pobliskiej okolicy.

Każdej wiosny kopał on, na owym kawałku łąki, torf o bodajże najlepszej jakości. Jednego roku, tuż przed zachodem słońca, na pobliskim mostku zadudniły zniecka koła bogato zdobionej bryczki zaprzęzonej w parę lśniących – czarnych koni. Wszyscy, którzy kopali torf, widzieli, jak bryczka zatrzymała się przy wspomnianej łące i jak rażno wyskoczyło z niej dwóch rośliwych i elegancko ubranych panów. Panowie ruszyli prosto do właściciela, który także kopał torf. Potem długo ze sobą rozmawiali i jakby się o coś targowali. W końcu przybili ugodę potężnym plaśnięciem dłoni i podróżni zniknęli szybko niczym wiatr. Następnego dnia łąka zmieniła użytkownika. Uwijało się na niej zgrabnie kilku mężczyzn tak, że wkrótce założyli całą połąć ceglami torfu. Miejsce dziwnych zdarzeń omijano z daleka, przeczuwając coś złego, chociaż dawny właściciel nie puszczał pary z gęby. Dość, że w opał na zimę zawsze był suto zaopatrzony, bo dym z komina walił całe dnie i wieczory. Tak działo się przez kilka kolejnych lat, aż w końcu wszelkie prace ustały a i następnej zimy bardzo rzadko unosiła się smużka dymu z komina właściciela tajemniczej łąki. Po tej zimie znowu zobaczono gospodarza z rodziną przy kopaniu torfu. Uwijali się z robotą jak za dawnych czasów, ale jakież było zdziwienie ludzi, kiedy po nocy łąka wyglądała jak nietknięta, tyle że jakby niższa, zapadła. Przepadł i właściciel z rodziną. Z czasem torfowisko zarosło krzewiną. Od tej pory nikt nie śmiał tam wejść. Nocni wędrowcy przebąkują, że około północy można usłyszeć na mostku duden bryki przeplatany głośnym przybiciem męskich dłoni.

A dlaczego gospodarze przepadli? Tego nikt nie wie. Istnieje tylko przypuszczenie, że nie wywiązali się z jakiejś umowy.

## **Kromka chleba**

Wydarzyło się to podczas drugiej wojny światowej, gdy w działdowskich koszarach Niemcy założyli obóz zagłady. Kolejnego dnia wyprowadzono właśnie grupę mężczyzn poza teren obozu. Wygłodzeni i wychudzeni więźniowie mieli, jak zwykle, pomagać przy budowie drogi prowadzącej do zamku. W pewnym momencie esesman zauważył, że jeden z więźniów wydobywa z piasku małą paczuszkę. Niemiec natychmiast sprawdził jej zawartość. Okazało się, że był to chleb. Esesman odebrał mężczyźnie chleb i całą grupę pracujących zapędził na teren obozu. Tam kromkę chleba przewiesił na sznurku przez gałąź drzewa i wynędziałym ludziom kazał ją zdobywać. Wkrótce więźniowie tak opadli z sił, że już tylko potrafili czołgać się po ziemi. Wówczas esesman zdjął chleb z gałęzi i zaczął ciągnąć po ziemi, zmuszając przy tym grupę biedaków do chwytania pożywienia pod groźbą śmierci. Gdy więźniowie nie mieli już sił nawet pełznąć, wymierzył w nich lufę karabinu. I stało się coś niezwykłego. Zamiast pocisków lufa siała okruchy chleba. Więźniowie napelniali sobie nimi usta. Nadzorca niemiecki sądząc, że to jakiś omam, nadal ładował broń i strzelał. Na ziemię wciąż padały okruchy chleba. Posileni więźniowie wstali i ruszyli w kierunku bramy więziennej. Nikt nie śmiał ich zatrzymać. Tak też bez trudu wyszli na wolność. Nadzorujący więźniów próbował bronić się, pokazując komendantowi obozu miejsce usiane okruchami chleba, lecz on jedynie widział łuski od nabojów.

Przedwojenni działdowianie powiadali, że od tej pory niejednokrotnie widziano, jak pracujący przy budowie drogi więźniowie obozu wkładali coś do ust i dzięki temu wielu z nich przeżyło. A chociaż od tego wydarzenia minęły długie lata, to prawdopodobnie do dzisiaj na ul. Męczenników da się czasami zauważyć okruch chleba.

## Dziedziczka i magik

Nie tak dawno, bo przed ostatnią wojną światową, majątkiem w Dłutowie zarządzał dziedzic. Wraz z małżonką zamieszkiwali w pałacu otoczonym solidnym murem. W północno – zachodnim rogu ogrodzenia znajduje się też budynek, zwany przez miejscowych „apteczką”. Nazwa wzięła się stąd, że dziedziczka przyjmowała w nim chorych ludzi z okolicy i w miarę swoich umiejętności, i możliwości, starała się być im lekarką. Za leczenie nigdy nie brała zapłaty, toteż nawet najubożsi mogli korzystać z dobrodziejstw świadczonych przez dłutowską panią. Zdarzyło się jednego dnia, że we wsi wybuchł pożar. Przeprowadzono do dziedziczki - lekarki poparzonego mężczyznę, któremu ludzie przypisywali zdolności magiczne. Opowiadano o nim przeróżne historie, na przykład pewnego razu pokazywał on grupie gapiów, że wchodzi w środek zwalonego kłosa drzewa. W tym czasie przejeżdżał chłop z furą siana, a patrząc na te sztuczki rzekł:

- Głupcy, przecież on idzie po kłocu, a tylko mamy wasz wzrok.

- Uważaj mądralo, pali się twoje siano – odparł na to magik.

Chłop, widząc furę siana w płomieniach, poodcinał postronki koniom. Wówczas okazało się, że siano ma się całkiem dobrze i wóz stoi nietknięty ogniem. Mówiono także o magiku, iż znieślawiał pewną kobietę do tego stopnia, że przez jego magiczne sztuczki biegła do niego niczym ćma do światła o każdej porze dnia i nocy, kiedy sobie tylko zażyczył.

Dziedziczka mimo niepocholebnej opinii o magiku zaopiekowała się nim jak każdym chorym, wymuszając jednak na nim, aby zaprzestał praktyk krzywdzących ludzi. Mężczyzna złożył taką przysięgę i nawet wyspowiadał się z grzechu. Dzień po dniu coraz bardziej zablizniały się jego rany, aż nadszedł dzień, w którym magik wyzdrowiał. Wdzięczny pacjent nalegał dziedziczkę o przyjęcie zapłaty. Dłutowska pani poprosiła go zatem, aby postawił krzyż na polach jej majątku. Magik z radością przyrzekł spełnić tę prośbę, a gdy opuszczał budynek apteczki zrobił jeszcze niewinnego psikus; na jednym z okien dorodnie kwitły pelargonie.

- Pani dobrodziejo – rzekł – jaki kolor mają kwiaty pelargonii?

- Czerwony. Nie widać?

- A proszę spojrzeć.

Dziedziczka zwróciła wzrok na kwiaty. Wszystkie pelargonie obsypane były białym kwiatem.

- Czy zaszkodziłem komuś tym żartem?

- Nie. Na takie żarty przyzwalam – powiedziała dziedziczka, śląc ku magikowi uśmiech.

Więcej już nie słyszano o magicznych sztuczkach mieszkańca Dłutowa. Niedługo też pomiędzy Jabłonowem a Wawrowem, pod górką kończącą odcinek prostej drogi, stanął drewniany, solidny krzyż, ale z czasem, zmożony latami, przewrócił się. Starsi ludzie doskonale pamiętają ten symbol wdzięczności Bogu i dziedzicze. A pani na Dłutowie, w swej wielkiej skromności, wyraziła jeszcze życzenie, aby pochować ją tak, by jej grób deptała stopa ludzka. Tak też się stało. Każdy, kto na dłutowskim cmentarzu przechodzi obok kaplicy, dostrzeże na jej południowej ścianie skromną tabliczkę.

## Wel

W niepamiętnych czasach rzeka Wel przepływająca przez Lidzbark i okolice prawdopodobnie miała inną albo nie miała nazwy własnej. Wówczas to na skraju lasu niedaleko rzeki stała chałupa, w której mieszkał chłop z żoną i córką Klarą. Klara, choć brzydka, mogła się być wydać za męża, bo była pracowita, a jej rodzice zasobni w parę morgów ziemi i niepuste chlewy. Klara jednak odrzucała zalotników, ponieważ nie trafiali się zbyt urodziwi. Postanowiła bowiem sobie, że wyjdzie za męża tylko za przystojnego młodzieńca, żeby jej dzieci mogły szczyć się urodą. Tymczasem Klara pomagała w gospodarstwie, a w porze niezimowej pasła bydełko na łące położonej wzdłuż pobliskiej rzeki. Nierzadko siadała u jej brzegu i wpatrywała się w wodę. Widziała w niej odbicie piegowatej twarzy, garbatego nosa i odstających uszu.

- Za nic na świecie nie wezmę za męża kogoś brzydkiego. Raczej zostanę starą panną – przyrzekła sobie.

Ale przystojniak jakoś się nie zjawiał. Klara, w obawie pozostania starą panną, przemyślała, najczęściej nad lustrem wody, jakby tu zdobyć wymarzonego.

- Zrobiłabym już wszystko dla niego, ale to wszystko, czego by tylko zechciał.

W tym oto momencie nadszedł na czarnym rumaku przepiękny młodzian. Zatrzymał się i rzekł:

- Jak ci na imię urocza nieznajoma?

- Nie jestem urocza – ze złością odparła dziewczyna.

- Urok kryje się we wnętrzu człowieka a nie w jego powierzchowności – dowodził jeździec.

Spodobała się Klarze wypowiedź jeźdźca, aż wyduła grube usta w szerokim uśmiechu i łagodniej już spytała:

- Dokąd to zmierzasz młodzieńcze?

- Miałem jechać dalej, ale teraz widząc ciebie, pragnąłbym pozostać już tutaj na zawsze.

- Co masz na myśli przystojniaczku?

- Powiem wprost. Chętnie bym się z tobą ożenił.

- A to chyba z nieba mi spadłeś.

Młodzian wykrzywił twarz na dźwięk słowa „niebo”, ale przełknął ślinę i odrzekł:

- Teraz muszę jechać, ale stawię się w dzień naszego wesela.

- Jak to w dzień wesela? Jaką mam gwarancję, że przybędziesz?

- Zaręczymy się zaraz!

I zerwawszy ostre źdźbło turzycy, przeciął skórę swojej dłoni, a potem Klary. Połączymy swoją krew. To będą nasze zaręczyny. Klara z ochotą przystała na to, zawierając całkowicie obietnicy jeźdźca. W tej chwili młodzieniec popędził niby wiatr, pozostawiając szczęśliwą, choć nieco zamyśloną dziewczynę. Od tej pory z bijącym sercem oczekiwała Klara dnia wesela. Wprawdzie dziwnym to się wszystkim wydawało, ale zapewnienia przyszłej panny młodej doprowadziły do końca przygotowań uroczystości weselnej. Pan młody dotrzymał słowa. W dniu ślubu przed domem narzeczonej zaturkotała wykwinna bryczka, zaprzężona w cztery wspaniałe konie. Narzeczony nie przestąpił jednak progu domu, by ukłęknąć do błogosławieństwa, tłumacząc że w jego stronach jest zwyczaj przewieźć przedtem wybranek, w ślubnym stroju, weselnym powozem. Uszanowano tradycję przysłego męża Klary i para młoda zajęła miejsca w bryczce. Konie ruszyły i pomknęły niczym strzała. W tym pędzie wiatr zerwał welon z głowy dziewczyny i rzucił w nurt rzeki. Wszyscy oniemieli z przerażenia. Zrozumieli natychmiast, że Klara już nie wróci. Wpatrzeni w wodę, pokazywali palcami i powtarzali:

Wel..., Wel..., patrzcie, wel... .

I nie mogli z wrażenia dokończyć wyrazu.

Od tej pory na zawsze przyłgnęła do tej rzeki nazwa „Wel”. I tak już pozostało.



## Dwie Wkry

Pomiędzy Jabłonowem a Przełękiem wije się stara rzeka Wkra. Zarosła szuwarami, oplata nimi głębię wody, jako dziewczyna włosami wysmukłą szyję. Dawniej, zasobna w różnaitość ryb, wabiła do siebie wielu rybaków z okolicy. Spośród nich zamięłowaniem do połowów wyróżniał się pewien młody chłopak. Towarzyszyła mu często piękna dziewczyna. Wpatrzeni w spokojny nurt rzeki, marzyli o lepszej przyszłości.

- Zbuduję łódkę i popłynę do samego morza. Zostanę rybakiem. Kiedy już wybuduję dom, zabiorę cię stąd i będziemy szczęśliwi – mawiał Jan.

- Będę czekała cierpliwie, aż przyplyniesz po mnie.

Tak też się wkrótce stało. Jan, zaślubiwszy Magdaleny pierścieniem splecionym ze źdźbeł traw, pożegnał ją czule i popłynął w stronę morza. Upłynęło trochę czasu i Magdalena urodziła zdrowego synka – Jasia. Jaś rósł, a ojciec który przecież nie wiedział o narodzinach synka, jeszcze nie wracał. Magdalena prawie codziennie przychodziła z dzieckiem nad rzekę i z coraz bardziej słabnącą nadzieją spoglądała w stronę morza. W końcu wymyśliła sposób powiadomienia narzeczonego o istnieniu małego Jasia. Włożyła list do butelki i puściła z prądem rzeki. Teraz czekała z nadzieją na powrót Jana. Pewnego razu, spacerując z synkiem brzegiem rzeki, zauważyła w jej zakolu swoją przesyłkę. Zrozpaczona, spojrzała na wijącą się wstęgę rzeki i zrozumiała, że żaden z jej listów nigdy tym sposobem nie dotrze do morza. Zapłakana wróciła do domu. „Co robić, co robić? Najchętniej odebrałabym sobie życie” – myślała zrozpaczona dziewczyna, ale co spojrzała na synka, upewniała się w przekonaniu, że musi dla niego żyć. Modliła się więc o siłę wytrwania, popłakując przy tym często u brzegu rzeki. Jednego dnia, pośród kłębiących się w głowie różnorodnych myśli, pojawiła się taka, która zrodziła w dziewczynie okruszynę otuchy. Oto przypomniała sobie, że w niedalekiej wiosce Pierławki mieszka człowiek, co wiele osób z tarapatów zdrowotnych i innych wybawił. Licząc na mądrość owego człowieka, postanowiła do niego się udać. Słońce już sporo obniżyło swój pułap, gdy Magdalena dotarła do celu swoich nadziei. Opowiedziała zaraz o swoim kłopotcie posiwiątemu staruszkowi, a on czule pogładził ją po długim, jasnym warkoczu i powiedział:

- Może coś poradzimy na to. Musimy jednak poczekać aż słońce zacznie się kryć za horyzont. Gdy czerwony promień słońca wpadł przez szybę okna do izby starca, on przyniósł lusterko i położył je na parapecie okiennym.

- Zdejmij swój pierścioneK z palca – zwrócił się mężczyzna do dziewczyny.

- To tylko tak na niby – ze wstydem odrzekła Magdalena.

- Ma on większą moc niżli złoto. Zaraz się o tym przekonasz. Połóż go na tafli lusterka....Teraz spójrz.

- Ach! - krzyknęło dziewczę - Widzę rzekę!

- Tak, tylko że ta rzeka jest zbyt kręta, by mogła zanieść list do twego miłego. Prawda? Wyjmij z warkocza długi włos i połóż prosto obok widocznej rzeki.

Magdalena zaraz tak uczyniła, a starzec wziął do ręki pierścionek, powiódł nim po lusterku i coś zamruczał pod nosem. Potem włos spalił, a pierścionek zwrócił właścicielce. Odblask ostatniego promienia słonecznego zginął w tafli lusterka, a razem z nim zginęło również widzenie.

- Teraz idź z Bogiem, a jutro koniecznie odwiedź znajomą rzekę i łąkę – powiedział wreszcie starzec.

Magdalena ucałowała ręce staruszka i z otuchą ruszyła w powrotną drogę. Było już ciemno, gdy dotarła do domu i choć ją korciło niezmiernie, aby pójść od razu nad rzekę, to jednak rozważa podpowiadała jej, aby poczekać do jutra.

Skoro świt, z ciekawością i z lękiem pobiegła przez kwieciste łąki ku nadziei. Stała na mostku i z rozczarowaniem stwierdziła, że rzeka ta sama. Rozpaczliwym wzrokiem powiodła po szerokiej zieleni łąk. I cóż to. Nieopodal, równoległe do Wkry, przecinał łąkę prościutki rowek wypełniony wodą. Nie czekała Magdalena. Natychmiast wysłała, dawnym sposobem, następną wiadomość. Nastaly tygodnie a może miesiące oczekiwania. Aż pewnego popołudnia, gdy promienie słoneczne złociły gładź wody nowej rzeczki, pojawił się na niej mały punkcik. Magdalena z bijącym sercem i niedowierzaniem czekała cudu, ściskając przy tym drobną rączynę Jasia. I stało się. Nie da się odtworzyć słowami chwili powitania młodych. Jan z Magdaleną złożyli sobie niebawem przysięgę przed ołtarzem, a potem cała rodzina popłynęła ku lepszej przyszłości. I tyle ich widziano. Nowa rzeczka została z czasem pogłębiona i poszerzona. I tak od tej pory płyną w parze dwie Wkry – jedna nowa, zwana też Działdówką, druga sędziwa i jeszcze bardziej zarosła, że już i lustra wody prawie nie dojrzysz.

A kto by wszedł pod most jednej czy drugiej usłyszy szmer wody, z którego uchem można wyłowić dźwięki: „da, da, da, da, le na, a, a, a, a, an...”.

## Głupiutkie biesy

Rozstajne piaszczyste drogi oznajmiały kiedyś koniec wioski Jabłonowo rozciągniętej dwoma rzędami chałup z północy na południe. Trzy piaszczyste ramiona rozstajów wskazywały gwieździście trzy kierunki: południe, zachód i północ. We wschodnio – południowym przedziale stał młyn – wiatrak drewniany, a obok ostatnie zabudowanie właściciela młyna. W południowo – zachodnim, tuż nad rowem, spoczywał wielki kamień, zaś w zachodnio – północnym rosła stara wierzba, której pień przypominał splot trzech pni. Przechodzień lub przejezdny mijał owe rozstaje bardzo zwyczajnie, jak każde inne, rzucając tylko niekiedy spojrzenie na ciężko pracujący wiatrak.

Pewnego razu, późną nocą, wioskowy człowiek powracał do domu z sąsiedniej wsi. Ziemia była wilgotna po obfitym, nocnym deszczu, ale na wypogodzonym już niebie jasno świecił pełny księżyc. Człowiek ów, będąc u rozstaju dróg, spostrzegł dziwne ślady biegnące w poprzek drogi. Nie były to ani ślady kopyt końskich, ani racic krowich, chociaż ostatnie przypominały najbardziej. Zaczynały się one u kamienia, a kończyły u wierzby i na odwrót. Chłopa bardzo zastanowiły owe ślady, lecz wkrótce zapomniał o nich, jak zapomnieć można o drobnej rzeczy. I tak minęło parę lat, aż zaszła konieczność pogłębienia rowów przydrożnych, żeby uchronić pola przed zalewami. Do wykonania pracy stanęli wszyscy zdrowi chłopci zamieszkali w tej wiosce. Korzystając ze znacznej siły roboczej, poprosił młynarz, aby wielki kamień przewleczono do młyna, gdzie miał spełniać jakąś rolę. Tak też się stało. Jakoś niezadługo rozeszła się najpierw potajemna, później głośna wieść jakoby w dziwny sposób wirują śmigła wiatraczne nawet przy bezwietrznej pogodzie. Ludzie zaczęli omijać wiatrak, wywozić zboże do bardziej odległego młyna. Tym, którzy jeszcze mieli odwagę korzystać z usług miejscowego, wiatrak robił różne psikusy. Kamienie młyńskie, zamiast ścierać, rozwalaly ziarno na boki jak siewca albo nie raczyły ruszyć z miejsca. Za to, gdy nie było roboty, pracowały ze zdwojoną siłą. Jeśli czasem udało się zemleć worek mąki, trzeba było biegiem wiązać zsypkę, żeby uchronić mąkę przed rozsypaniem. Markocili się ludzie, a jeszcze bardziej młynarz, wszak ustał zarobek. Próbował on jeszcze zaradzić nieszczęściu, kreśląc krzyże w powietrzu czy zamawiając msze święte, a nawet siekąc wokół nożami. Wszystko na nic. Rada w radę, uradzono w rodzinie, że trzeba postawić krzyż u rozstaju dróg. Wkrótce stanął porządny kamienny krzyż w miejscu, gdzie dawniej leżał kamień. Chrystus ukrzyżowany kierował umęczoną twarz ku wiosce, a rozłożone ręce wskazywały południowy wschód i północny zachód, jakby chciały wskazać ludziom cel ich

wędrowki od narodzenia poprzez zenit życia aż do zachodu i pogrążenie w mroku, by na nowo wstać jak słońce. Krzyż został poświęcony, a młynarz oczekiwać zaczął końca kłopotów. Ale tak się nie stało. Wiatrak nadal milczał w potrzebie, a szalał bez potrzeby. Wówczas to, wspomniany miejscowy wędrowiec nocny postanowił pójść do młynarza z radą, nie mówiąc jednak nic o swoim spostrzeżeniu. Dziwna wydała się młynarzowi rada owego człowieka, ale że tonący chwytła się brzytwy, wyrzucił pod starą wierzbę dawniej przeciągnięty kamień. I o dziwo! Wiatrak zaczął pracować jak za dawnych czasów, ale korzyści z jego pracy były, mimo wszystko, coraz mniejsze. Powstawały lepsze młyny, a i dawne doświadczenia jakoś zniechęcały niektórych klientów. Nie rozpaczał z tego powodu właściciel młyna. Najważniejszym stał się dla niego uzyskany spokój, a że umiał gospodarować na roli, był pracowity, nadrobił z czasem poniesione straty.

A co ze śladami? Przygodny obserwator nie darował i sprawdził miejsce pewnym zimowym świtem, gdy ziemię przyprószył świeży śnieg. Został tam identyczne odciski racic, ale już nie biegły one w poprzek drogi, a tylko wokół kamienia i starej wierzby. Wymedytował zatem, że biesy pilnowały czegoś, co ukryto głęboko pod kamieniem, a ponieważ ich wiedza była bardzo skąpa, wędrowały za nim na kolejne miejsca.

„Głupie czarty, a ja jeszcze głupszy” – pomyślał i tym razem w samo południe ruszył jeszcze raz w stronę rozstajnych dróg. Zdjął z szacunkiem czapkę przed Ukrzyżowanym i chwilę stał w milczeniu, jakby czegoś żałował, ale niebawem zawrócił do wsi, pogwizdując ulubioną melodię.

## Psuj

Działo się to wówczas, gdy Ziemię Działdowską pokrywały jeszcze same lasy, a człowieka można było spotkać bardzo rzadko, najczęściej przygodnego przejeźdnego albo wędrowca. Wtedy zdarzyło się, że w dobie zrównania dnia z nocą wędrowały przez owe lasy Miłość z Mądrością. Właśnie drzewa nabrzmiewały żywicą, aż czuło się ją w wiosennym powietrzu. Nierozdzielne przyjaciółki idąc tak, podziwiała dzieło Stwórcy, zastanawiając się jednocześnie nad zagrożeniami istnienia tego świata. Nagle zauważyły jednorękiego stworka, który drzewo po drzewie opróżniał z żywicy. Zaniepokojone nieczym czynem, podeszły bliżej.

- Dlaczego to robisz. Niszczysz tym samym las? – przemówiła Mądrość.

- Muszę to robić – odrzekł zapytany.

- Pozwól, że wytłumaczę ci, jakie zło czynisz. Jeśli zginą drzewa, zginie też życie na Ziemi. Proszę cię w imię Miłości – oszczędź je.

- Muszę psuć – brzmiała odpowiedź.

- Dlaczego musisz psuć?

- Muszę psuć bo jestem Psuj, prawa ręka Złego.

Miłość i Mądrość odeszły na stronę. Radziły, co robić.

- Trzeba go zniszczyć. Inaczej on zniszczy wszystko. – mówiła Mądrość.

- Spróbuję Psuja powstrzymać - nalegała Miłość.

- To nic nie da, moja Miłości.

- Jeśli nie posłucha, postąpimy według twojej rady.

I ponownie podeszły bliżej Psuja.

- Psuju kochany, jeśli zniszczysz wszystko, co żyje, zniszczysz też siebie. Chcesz zginąć? Opamiętaj się - perswadowała Miłość.

- Musze psuć!

Miłość i Mądrość usłyszały starą śpiewkę. I Psuj ze zwielokrotnioną siłą wziął się do roboty, aż strużki żywicy popłynęły na piaszczystą, leśną dróżkę. Spojrzały po sobie przyjaciółki i już nie potrzebowały wszczynać dalszej dyskusji. Chwyciły Psuja i poturlały przed siebie, oblepiając go piaskiem zmieszany z żywicą. Toczyły go długo, aż utoczyły wielki kamień.

- Teraz Psuj długo nie zagrozi istnieniu życia – odetchnęły z ulgą.

Ten to kamień spoczywa w lesie pomiędzy Gródkami a Gruszką. Kto bliżej mu się przyjrzy, zauważy pęknięcie w górnej jego części. Spostrzeże także, że niewielka część u

samego dołu została już odłupana. A dzieje się tak dlatego, że w czas wiosennego zrównania dnia z nocą pod ów kamień skrada się Zły i próbuje lewą swą ręką, uwolnić Psuja. A kto nie wierzy, niech w porze nocnej pierwszego dnia wiosny odważy się pójść do lasu, rozciągającego się pomiędzy Gruszką a Gródkami. W lesie tym, Wakroiną albo Zwierzyńcem zwanym, dostrzeże iskierki pełzające po powierzchni głazu. To Zły próbuje rozłupywać kamień. I może rozłupałaby go już do tej pory gdyby nie Miłość i Mądrość, które cierpliwie latają to, co zepsuje Zły. Robią to jednak cichuteńko, by nie wzbudzić podejrzeń Złego, dlatego nie sposób je spotkać.

## Wądoł w Jabłonowie

Dawno temu, kiedy wieś Jabłonowo liczyła jeszcze niewiele chałup, na miejscu wądołu znajdującego się przy drodze prowadzącej do Niechłonina, rosła dzika jabłoń. Owoce jej były cierpkie, ale mieszkańcy wioski otaczali ją niezwykłą, wprost matczyną opieką, bowiem jabłka te były lekiem na wszelkie choroby. Skórka ich służyła jako balsam na rany, miąższ miał chronić od grypy, pestki zalane wrzącą wodą stanowiły herbatkę na bolące gardło. Tak samo, żucie suszonych plasterków z jabłek pomocne było w leczeniu stanów zapalnych dziąseł. Nic też dziwnego, że jesienią obkładano drzewko gnojem, wiosną bielono pień a w porze letniej suszy podlewano i kiedy jabłka dojrzewały, pilnowano przed złodziejem. Dojrzałe owoce mieszkańcy wioski dzielili między siebie sprawiedliwie, tak żeby każdy mógł jednakowo skorzystać z dobrodziejstw natury.

Tak upływały lata, aż pewnej nocy kiedy jabłka wyglądały dopiero jak zielone kulki, zdarzyło się coś dziwnego. A wszystko to zaobserwował rozweselony wódką młokos, wracający z zabawy. Oto do jabłoni podkradała się okazała postać z koszem. Kiedy już rozpoczęła wspinaczkę, coś w powietrzu błysnęło, zaszumiało, zakręciło i ze świstem wyrwało, i wyrzuciło w powietrze drzewo razem ze złodziejem. Zestrachany młodzian pędem dobiegł do wsi. Zaczął dobijać się do pierwszej lepszej chałupy. Gospodarz wybudzony ze snu, zdenerwował się na chłopca, uznając jego opowieść jako przywidzenie pijackie. Jakież było zdziwienie ludzi, którzy wczesnym rankiem podążali do żniw, gdy zobaczyli po jabłoni tylko niewielki dołek, wokół którego leżało mnóstwo jabłek. Długo nikt nie śmiał zbliżyć się do tego dołka. Mijały lata.

Dla nastających pokoleń przekazywana opowieść stała się mglistym obrazkiem. Śmiałkowie zaczęli podchodzić do dołka po wyrwanym drzewku. Pod rzadką darnią zóciła się obrączka miążskiego piasku, okalająca ciemniejszy kawałek ziemi. Wkrótce zaczęto powiększać dołek, wydobywając piasek do budowy, do ocieplania lichych fundamentów na zimę, do posypywania podłóg. Mały dołek stał się z czasem wielkim dołem. Dzisiaj już nikt nie pamięta skąd się wziął.

## Dzwony

Jednej wiosny panowała w niedalekiej okolicy długotrwała susza. Od czasu roztopów nie spadła ani jedna kropla deszczu. Niebo wciąż było przyobleczone w błękit, a każda pojawiająca się na nim najmniejsza chmurka, budziła w ludziach nadzieję na choćby kapuśniaczek. Wkrótce jednak znikwały te nadzieje, jak owe chmurki. Próbowano zaradzić nieszczęściu, zbierając datki na Msze święte i nabożnie w nich uczestnicząc. Każdego ranka wstępowała w serca wieśniaków dziecięca ufność i zamierała z końcem dnia. Przejżdżające furmanki wzbijały coraz większy tuman kurzu, a wszelka roślinność traciła zieloną barwę. Woda w studniach powysychała do dna i ratowano sytuację wodą rzeczną. Pełnią panoszył się miesiąc maj, a nie było mowy o tym, aby św. Zofia raczyła wywinąć kłosa zbóż. Bydło wyjadało na pastwiskach trawę razem z korzeniami i popijało błotem z głębszych rowów.

Groźba głodu nieustannie spędzała ludziom sen z powiek. Wówczas, pewien mieszkaniec wsi wpadł na pomysł, by w szczególny sposób poprosić Matkę Bożą o opiekę, czyli przynajmniej jedno nabożeństwo majowe przedłużyć na całą noc. Ludziom przypadł do gustu ten pomysł i wkrótce przybyli pod wiejskie kapliczki na najdłuższą majową modlitwę. Wieczór i noc upłynęły na odmawianiu różańca i Litanii do Matki Bożej oraz śpiewaniu nabożnych pieśni. Niebo zaczynało bieleć od strony wschodu, a wszyscy trwali na klęczkach. Otulając się cieplejszym odzieniem, przed wilgotnym chłodem nocy, oczekiwali szóstej rano, momentu ogłoszenia przez kościelne dzwony, nowego dnia. I doczekali się. Dźwięki dzwonów płynęły polami i łąkami, rozlewając z wielkim dostojeństwem, swe dźwięczne, wyraziste tony. Już ktoś z modlących zaintonował „Anioł Pański”, ale inny przeraźliwie krzyknął:

- Przecież to jeszcze nie pora dzwonów”!

Strach ogarnął ludzi. Co sił pobiegli w stronę, skąd odgłos dzwonów dochodził. Wypatrywali nowego nieszczęścia, jako że w ten sposób obwieszczono ogień. Jednak nad polami, łąkami i odległymi lasami falowały jedynie welony mgieł – balsam dla zmęczonej suszą zieloności. Pożaru ani śladu. Zrozumieli mieszkańcy Boży znak i wstąpiła w ich serca śmielsza nadzieja. Bardziej ochoczo powrócili na miejsca modlitw. W gorliwej prośbie i wzbudzonej otusze minęły, jak sen, ostatnie chwile. Wtedy ponownie zabrzmiały dzwony. Umęczone kolana wyprostowały się, a z ust popłynął „Anioł Pański”, a później „Kiedy ranne wstają zorze”. Mimo woli, raz jeszcze, wzrok zebranych powędrował ku zachodowi. I o dziwo! Kościelną wieżę królującą nad kępą wysokich drzew, spowiły ciemne chmury, które sunęły w kierunku



wsi. Zagrzmiało. Błyskawice utonęły w strugach deszczu. Nikt nie uciekał z posterunku. Bacniejsi obserwatorzy przekazywali później, że świetlista wstęga błyskawicy przybierała kształt litery M.

## Liście Pana Boga

Nikt nie wiedziałby o liściach Pana Boga, gdyby nie opowieść chorej dziewczynki, która w ostatnich chwilach swego ziemskiego życia uparcie zatapiała wzrok w zmrożone okienne szybki i za nic nie chciała oderwać oczu od urzekającego ją piękności obrazka:

- Mamo – powiadała – ubierz mnie w białą sukienkę, bo tam w ogrodzie Pana Boga wszystkie dzieci paradują w bieli. Chodzą po atlasowych alejkach, a w dłoniach trzymają srebrne liście. Zapraszają mnie. Mamo, ubierz mnie w białą sukienkę!

Mama ubrała córeczkę według jej życzenia, a ona w zachwycie dalej ciągnęła swą opowieść:

- Mamusiu, tu jest jak w baśni. Biegnę teraz atlasową ścieżką. Wzdłuż niej rosną wielkie, bielusieńkie paprocie, nakrapiane malutkimi diamencikami. Ojej, te liście falują jak skrzydła aniołków i do tego dźwięczą cichutko. O, stoi ławeczka! Wygląda jakby była z masy perłowej. Spocznię sobie. O, już! Wcale nie jest twarda ani zimna. Otaczają mnie dzieci. Podają mi najpiękniejsze liście. Trzymam w rękach już cały ich bukiet. Pod kloszem słonecznych promieni mienią się bajecznie. Czuję się szczęśliwą i bezpieczną. Nie widzę Jezuska, ale on jest tu na pewno, tak jak mówiłaś mi, mamo. Jeśli pozwoli, przyniosę jeden liść i przykleję na szybkę!

I w tym momencie zająrzył do izby promyk zimowego słońca, a rączyna dziewczynki opadła powoli, głaszcząc po drodze lodową koronkę. A po nocy przybył na szybie okiennej mowy, jakby najpiękniejszy pióropusz.



Teresa Dwórzniak - Romańska  
„Bajdy znad Wkry i Welu”